

268

Koty za płoty

„Zabawa w koty” — Istvan Orkény, przekład — Camille Mondral, reżyseria — Jan Machulski, scenografia — Liliana Jankowska, układ plastyczny — Barbara Fijewska. Teatr Mały, Warszawa.

PEWIEN z acny ziemianin, rzeczywiście go powiatu, miał dwie córki: piękną i brzydką. Piękna była od Boga i natury obdarzona wszelkimi cnotami, brzydką miała zajęczą wargę i piekielny temperament. Piękna zakochała się w synu sąsiadów i zgodnie ze swym romantycznym usposobieniem postanowiła dać się porwać. W całą aferę wtajemniczoną tylko siostrę z zajęczą wargą, stawiając ją krytycznego wieczoru na czatach. Brzydula miała po prostu dać znak, że kochanek przegalopował, wyekspediować czującą parę i spokojnie wrócić pod ojcowską strzechę. Czegoż nie robi się dla rodziny? Panna podjęła się niebezpiecznej i dwuznacznej misji. Zaszyła w mroku ogrodowych alei i od tej chwili wszystko zaczęło się nieco płać. Zniecierpliwiona brakiem sygnału kandydatka do porwania poszła sama sprawdzić, co dzieje się wśród chaszcz. Nic się nie działo i nikogo nie było. Brzydka siostrzyzka po półgodzinnej rozmowie z porwaczem skoczyła na jego siódło i pognali razem w siną dal. Tak to obrotna dziewczyna zdobyła za jednym zamachem chwackiego chłopaka i złą reputację. Dalsze losy tej damy polegały na etajm zmienianiu obiektów miłości, skandalach rodzinnych i dalekich podróżach zagranicznych uwieńczonych późnym małżeństwem z pewnym zacnym generałem, który pod komendą Kuropatki instalował na „sopkach Mandzuril” polowe lazarety. Żona z zajęczą wargą obdarzyła go wianuszkami dorodnych dziatek, rozmieszczonych po różnych miastach Imperium, oraz poczuciem nie zaspokojonego szczęścia. Ostatni raz uciekła z kochankiem do Londynu mając lat 57, a gdy romans wygasł, wróciła spokojnie na stęsknione łono generalskiego małżonka. Pod koniec życia (a dobiegała setki!) przekazała swym młodocianym wnuczkom następującą naukę moralną: „pamiętajcie dziewczęta, że najgorszy jest żal niewykorzystanych okazji”.

Ostatnie kreacja Ireny Eichlerówny na scenie Teatru Małego żywo przypominała mi tę budującą historię, która pokutuje w tradycji rodzinnej. Bohaterka „Zabawy w koty” — pani Orbanowa, to właśnie kobieta, która umiała żyć bez żalu nie wykorzystanych okazji. Nie wiem, jak oceniają taką postawę surowi moralisci, nie wiem, czy solidaryzuje się z nią sama artystka, wiem, że swój hedonistyczny stosunek do życia potrafiła przekazać nam tak przekonująco i atrakcyjnie, znaleźć w nim tyle smaku i radości, iż doprawdy zaczyna się żałować wszystkich nieopatrznie przepuszczonych, we własnym życiu, okazji. Zwłaszcza jeśli były one tak ponętne jak te, których dostarczała swemu wielbicielowi Orbanowa — Eichlerówna.

Sztuka Orkény'ego zapewne nie wzbogaci skarbicy światowej klasyki. Jest w gruncie dość słabą, nieco pretensjonalną komedią obyczajową. Ale do pięknej tradycji gwiazd scen warszawskich należała umiejętność czynienia dzieł sztuki z drugo- i trzeciorzędnych utworów dramatycznych. Stawa XIX-wiecznych „Rozmaitości”, stawa Zółkowskich, Rapackich, Rychterów, Trapszów, Królikowskich, Bakałowiczowych, Popielek i całego legionu znakomitości owej — najświetniejszej epoki polskiego aktorstwa — opierała się na takim bulwarowym repertuarze z którego, mocą talentu, czyniono cuda. Irena Eichlerówna przypomina w pełnej chwale i krasie tamte, znakomite tradycje. Jakże subtelnie zachowuje się ona na scenie, jak delikatnymi środkami przekazuje nam zaprawioną kroplą melancholii, radosną wiarę w życie, jak ciepła jest i bliska, jak piękna i młoda, jak prawdziwa w każdym geście, uśmiechu, błysku oczu, jak opanowana w ledwo uchwytnym zaśpiewie głosu. Jest gwiazdą pierwszej wielkości, a równocześnie potrafi być aktorką grającą w zespole

i zostawiając miejsce dla innych. Mimo iż rola Orbanowej jest niemal monodramem i leż tam do grania i wygrania miały jej koleżanki i koleźdy, którzy zresztą w pełni, i z powodzeniem, tę szansę wykorzystali.

Janina Nowicka (Myszka) — inicjatorka tytułowej zabawy w koty, zaprezentowała nie tylko rzetelny (i jak wszechstronny) warsztat w pełni sprawnego aktora, ale nasycała rolę autentyzmem. Ową smutną prawdą samotnej kobiety, szukającej oparcia w cudzej samotności, nawet jeżeli ceną jest zastąpienie własnych emocji i przeżyć — obserwacją cudzych. Małgorzata Lorentowicz (Paula) — artystka o znakomitej aparycji — zabłysła w scenie, na którą pozwolić sobie potrafi jedynie odważna kobieta. W scenie, gdy pokazuje się widowni potargana, bez maquillage'u, w obskurnym szlafroku wygrzewając termoforem swój zbolaty woreczek żółciowy. I znowu ile prawdy, ile świetnej obserwacji, ile życia... Andrzej Bogucki (Wiktor Czermełny) — leciwy amant i emerytowany tenor, obiekt „wojny kobiet”, zagrał ciepło i bardzo kulturalnie rolę mężczyzny osaczonego niespodziewanym, późniejszym powodzeniem w miłości, w którym próbuje rozświetlić gasnące perspektywy życia. Suchą, pryncypialną Gizę, siostrą osiadłą w NRF-owskim Klondyke, zagrała Karolina Lubieńska z właściwą rezerwą, umiarem i dystynkcją. Bardzo wyrównany spektakl, mimo, że same „Koty” pana Orkény'ego bardziej nadają się za płoty, niż na scenę. Powodzenie, które będzie im nie wątpliwie towarzyszyć przez długie miesiące zapisze Teatr Mały wyłącznie na konto wielkiej gwiazdy Ireny Eichlerówny.

My zaś — to jest publiczność — możemy ponowić żądanie, aby Eichlerówna była na scenie gwiazdą stałą, a nie przelotną kometa, jak to się działo w ostatnich latach. Chcemy ją oglądać co wieczór!